ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 4-go Lutego 1897. **Nr. 5.**

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste **t** (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Ślązku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Przysłowia o Krakowie.

Gdyby niebyło Rzymu, tedyby Kraków był Rzymem. Przysłowie to przytacza Włoch, opisujący poselstwo kardynała Gaetaniego do Polski, przyznając mu słuszność.

Jeden Wiedeń, Praga maga, Kraków miasto. Chociaż w 15 i 16 wieku Kraków słynął astrologią równie jak uczona stolica czeska, przecież sądził się widać być wolnym od tego.

Wiesz ty, że Kraków większy jak Brzeście?

Kraków pan, Warszawa matka, Lublin siostra, co Duńczewski objaśnia: iż w Krakowie są dostatki, w Warszawie matek najwięcej, zaś w Lublinie protekcya znaczy.

Co we Lwowie, to nie w Krakowie.

Jeden z Krakowa, drugi ze Lwowa, jakby przeciwnicy niezgodni.

Kradnij, rozbijaj, ale Kraków mijaj.

Civitas Cracovia, kup sobie jako i ja.

Jechał z Krakowa do Warszawy na Lublin, znaczy tyle, co zmylił drogę.

Język i Kijowa i Krakowa dopyta.

Na tem ostrzu choć do Krakowa zajechać, mówi się o tępym nożu.

Król sobie królem w Krakowie, a Radziwiłł w Nieświeżu.

Nie naraz Kraków zbudowano.

Chociażbyś i Kraków zjadł, więcej go nie kupisz.

Krakowa nie kupisz za złoty.

Drogi Kraków za grosz (Dla tego, kto go nie ma).

Słynęło kupiectwo krakowskie, a więc i miara i targ nielada — i tak:

Nie żmudzką beczką, furyą mierzą: krakowskim korcem i to pod strych To wykładają: iż w zapale i gniewie miarę zachować potrzeba.

Ceni drogo, a krakowskim targiem za połowę sprzeda. Krakowski targ, znaczy zniżenie zacenionej należytości do połowy, za którą sprzedaje kupiec swój towar.

Gdańska gorzałka, toruński piernik, — krakowska panna, warszawski trzewik.

Z cnoty słynęli Krakowianie, jak skoro mówiono:

W Poznaniu poważni, we Lwowie wymowni, w Krakowie ludzcy ludzie.

Wreszcie nad wszystko chlubił się Kraków z Akademi swojej, o której głoszą:

Komu akademia krakowska nie jest matką, temu pewnie babką była; sławiąc w ogóle nauki w stolicy:

Że nie karmią łyżką nauk w Krakowie — ktotam dziatki ma, snadnie się dowie.

Są nakoniec przysłowia lub sposoby mówienia ulic i przedmieść Krakowa się tyczące, n. p:

Chudzino z Kleparza, niech ci Bóg przysparza, lub: *Harcuje cnotą, jak siwkiem na Kleparzu* (bywał tam jak dotąd targ na konie).

Kleparska mucha, tyle co natrętnik.

Przez Długą ulicę wprost na szubienicę, (za ulicą kleparską tego nazwiska, zwykle wieszano).

Gęba jak floryańska brama.

Wysoki jak wieża maryacka.

DZIEJE ŚLĄZKA

czyli

Historya Ślązka od najdawniejszych aż do najnowszych czasów

przez dr. Konecznego.

Z licznymi obrazkami.

Całość obejmować będzie około 10 zeszytów, każdy zeszyt o 3 arkuszach druku.

Cena zeszytu 30 fen., z przesyłką 35 fen.

Dotąd wyszły 3 zeszyty, dalsze wszystkie wyjdą w przeciągu pół roku.

Należytość w ilości **3,50 mk.** można przesyłać od razu a oszczędzi się kosztów każdorazowej przesyłki należytości.

Kto zamówi od razu 4 egzemplarze jednego i tego samego zeszytu, otrzyma przesyłkę franko. Kto zamówi 10 egzemplarzy, otrzyma 11-ty bezpłatnie i przesyłkę franko.

Zamawiać można u wszystkich panów księgarzy, agentów, w ekspedycyi »Nowin Raciborskich«, »Gazety Opolskiej« i wprost z

Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu (Beuthen O.-S.)

Nowy Brewiarzyk Tercyarski

dla

Braci i Sióstr III zakonu św. Ojca Franciszka

z dodatkiem

różnych stósownych nabożeństw.

Nowy ten Brewiarzyk został wydany przez **ks. N. Bontzeka,** proboszcza Bytomskiego, i jest wydrukowany za pozwoleniem władzy biskupiej. Dotąd jeszcze nikt nie wydał Brewiarzyka, któryby był tak d o g o d n y i p r a k t y c z n y, jak niniejszy. Brewiarzyk mieści w sobie: Kalendarz rzymski, oficyum, podzielone na 3 części tj. na Adwent, Boże Narodzenie i po Bożem Narodzeniu (to oficyum jest drukowane w 2 łamach na każdej stronie). Dalej zawiera Brewiarzyk: Regułę III zakonu, kalendarz tercyarski, odpusty dla Tercyarzy, sposób obłóczyn, sposób profesyi, absolucyą jeneralną, sposób odmawiania pacierzy tercyarskich, modlitwy poranne i wieczorne, modlitwy do mszy św. zwyczajnej i żałobnej, modlitwy do spowiedzi i komunii św. i rozmaite inne modlitwy i litanie, oraz drogę krzyżową. Stron 480. — Druk jest wielki, wyraźny, a tytuły czerwonym drukiem wykonane. — Brewiarzyk został wydrukowany na p a p i e r z e z w y c z a j n y m i w e l i n o w y m. Ceny są następujące:

Papier zwyczajny:		Papier welinowy:	
oprawny w pół płót. z czerw. brzeg. i futer.	1,50	oprawny w pół płót. z czer. brzeg i futerałem	1,80
z przesyłką	1,70	z przesyłką	2,00
w skórę, czerw. brzeg. z złot. tyt. i krzyżem w futer.	2,75	w skórę, czerw. brzeg z zł. tytułem i krzyżem i futerałem	3,05
z przesyłką	2,95	z przesyłką	3,25

Zamawiać można pod adresem:

Wydawnictwo „Katolika“ w Bytomiu (Beuthen O.-S.)

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 4-go Lutego 1897. Nr. 5.

,,Światło" wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa ,,Katolika" w Bytomiu na G. Śląsku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

DALEKO OD OJCZYZNY.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy.)

W lat dwa powrócił na okręcie, który co roku przypływał z Sydney do osady Bitensa. Powrócił, aby wraz z kapitanem usypać mogiłę jego żonie i małej Bety i zobaczyć Harrego, który wkrótce miał udać się na naukę do Anglii. Wtedy to opowiadał, iż odebrał wiadomość, że żona jego żyje i oczekuje go wraz z córką.

— Rok temu jak im doniosłem, gdzie się znajduję i jak pragnę ich ujrzeć, lecz muszę mieć pierwej wieści od nich i pieniądze na drogę. W każdym razie, przecież ich kiedyś zobaczę; mówił idąc za biegiem swych myśli. Jak myślisz, w rok można już odebrać odpowiedź? zapytał nagle Bitensa. Kapitan skinął głową potwierdzająco.

— Rok minął, — mówił do siebie Polly, — ale cóż robić, wszakże czekałem dłużej; rzuciłem ziemię, puściłem się na morze... i oto jak ono mi się wypłaca! Ty najlepiej wiesz, kapitanie — rzekł, zwracając się do przyjaciela, — tak, ale teraz mam nadzieję, że odpowiedź nadejdzie. Trzeba spieszyć do Sydney, okręt wkrótce odchodzi. Żegnam cię więc; dodał ściskając rękę Bitensa, a złożywszy pocałunek na czole wpatrzonego weń Harrego, spiesznym oddalił się krokiem, do stojącego w przystani parowca.

Kapitan patrzył ze współczuciem za odchodzącym.

IV.

Harry wyjechał do Anglii, o Pollym zaś od owej chwili nikt nic nie słyszał. Bitens, wśród zajęć, zapomniał o przyjacielu, dopiero, gdy po trzech latach odezwał się pieśnią przed jego domkiem, stanęła mu przeszłość na oczach. Próżno jednak przyjaciela szukał, próżno go głosem całej piersi wywoływał.

Losy Pollego, od czasu wyjazdu z kolonii Bitensa, snuły się jak i poprzednio. Wieści od swoich otrzymał nareszcie, lecz musiały one być bardzo smutne, bo jeszcze większa ogarnęła go tęsknota. Zaczął stronić od ludzi, wreszcie wsiadł na okręt wypływający z Sydney, lecz nie dotarł do kolonii Bitensa; prosił by go zostawiono na jednej z otaczających ją niezamieszkałych wysepek. Mówił, że drzewa, zwierzęta a nawet skały zrozumieją jego mowę, która dla wszystkich otaczających go ludzi była obcą.

Załoga i majtkowie mieli go za pozbawionego zmysłów; ludzie ci, błąkający się ciągle po oceanie, nie rozumieli jego tęsknoty; żałowali go po swojemu, lecz nikt nie bronił mu wysiąść na wysepce. Dali mu nawet pewną zapomogę, to jest trochę prochu, śrutu, jakieś zużyte narzędzia do uprawy roli, oraz niewielkie czółno, aby, gdy zatęskni do ludzi, mógł się dostać do przepływającego okrętu.

I tak ów dziwak przeżył rok cały, przesuwając się na maleńkiem czołnie z wysepki na wysepkę. A tych wysepek było tak dużo, że nieraz Polly zastanawiał się, ile to jest jeszcze ziemi, której nie dotknęła stopa ludzka, gdzie żadna skarga ani radość nie rozdarła powietrza.

Raz miał sen, że jest wśród ludzi; oni go przygarniają, szepcąc, że tak dawno czekają na niego z utęsknieniem. Widział żonę, która opowiadała dziecięciu, iż ojciec jej żyje daleko, daleko, ale gdzie, ona nie wie. Pod wpływem owego snu Polly wsiadł na łódkę i popłynął na wyspę Bitensa; chciał szukać sennych widziadeł, przecież tam wśród rodziny kapitana poznał jakieś przebłyski szczęścia.

Wiosłował szybko, wysiadł na wybrzeżu, lecz i tu dużo się zmieniło. Spotkał na wstępie kilku nowych ludzi, których karnej kolonii dostarczyła Europa, ci go przywitali zdziwieniem i śmiechem.

Uciekł przed nimi; spojrzał zdala na dom kapitana, ten mu się wydał osamotnionym, Usłyszał za sobą śmiech suchy, drażniący słuch nieprzyjemnie, darzyli go nim nowi przybysze, pracujący w kopalni.

Westchnął nad nimi i poszedł do domku kapitana. Stanął, nikogo przed domem nie było, cisza panowała zupełna.

Może i tu znajdę obce twarze, które powitają szyderstwem! Tak, wszak trzy lata upłynęło od ostatniej mojej tutaj bytności. Machnął więc tylko ręką i zanuciwszy pieśń, która go przenosiła do ukochanych, przeszedł koło domku tak szybko, jak gdyby chciał uciec przed sobą samym...

Biegł z pieśnią na ustach, z nią rzucił się do łodzi i zginął z przed oczu ludzi pomiędzy nadbrzeżnemi skałami. Błąkał się wśród nich, lecz nie powrócił na zieloną wyspę; nie dziw więc, że Uery i kapitan nie znaleźli mieszkańca, tylko ślady jego pobytu.

— Trzeba czatować na niego; mówił Bitens, odwiedziwszy raz wyspę. — Przyjdzie zapewne plon zebrać; dodał, patrząc na bielejącą dorodną pszenicę.

Oczekiwano, — Polly nie wracał. Uchodząc z wyspy, zagłębił się pomiędzy skały z czołnem; morze łagodne rzucało bałwany, Polly czuł się bezpiecznym.

Na szczycie skał czuwał orzeł. Żeglarz, wsunąwszy się między skały, zarzucił niewielką kotwicę, położył się w łódce i był bezpiecznym. Marzył, że znalazł przystań, w której mu będzie spokojnie; gwiazdy mrugały, on długo się w nie wpatrywał, potem oparł się na zrębie i śpiewał pieśń jedną po drugiej. Skały powtarzały echem dźwięki i wyrazy, a jemu się zdawało, że wtóruje im głos znany. Śpiewał i marzył, aż znużony zasnął; wśród snu widział wszystkie wspomnienia, — wszystko, co zostawił za oceanem.

Jak długo spał, i czy spał, nie wiedział. Obudził go huk jakiś... to morze wzburzone szalało. On wśród skał był bezpiecznym; spojrzał w górę, orła nie było na szczycie, fale rzucały się w skał zagłębienie, opryskiwały wątłą łódź, lecz jemu szkodzić nie mogło. Uczuł nagle głód i zaspokoił go zapasami, jakie miał w swej łodzi. Cieszył się prawie tą nową swoją siedzibą.

Wreszcie burza się uciszyła; na wielkim obszarze oceanu majaczył jakiś punkt czarny, zbliżał się, coraz bardziej uwydatniały się jego kształty, w końcu najwyraźniej można było rozpoznać okręt.

— Ha, raz jeszcze spróbuję; może to dobry los zapędził mnie tutaj, abym spotkał się znów z okrętem i popłynął do Australii. Tak, ten okręt płynie w tym kierunku, zabierze mnie z pewnością. — I silnemi ramiony popchnął łódź swoję; fale ją uniosły i znowu znalazł się na pełnem morzu. Gdy się oddalał, zaczął żałować swojej wyspy, na której zasiał pszenicę.

— Kto ją zbierze?... byłbym miał z niej piękne ziarno... Już zapóźno!... nie skieruję tam mojej łodzi... Łódź, podrzucana bałwanami, chyliła się w tę i owę stronę; zdawało się, że ją przewrócą i zatopią, lecz Polly ich się nie lękał...

Przepływający parowiec, zobaczywszy owę łupinę, zwykłym obyczajem wszystkich okrętów wysłał łódź ratunkową, myśląc, że ktoś zbłąkany potrzebuje pomocy. I znowu Polly płynął do głównej wyspy, gdzie okręt wracał z dorocznej wycieczki na jednę z mniejszych posiadłości korony angielskiej, rozrzuconych po oceanie spokojnym.

V.

Zielona pszenica zmieniła się w złotawą falę, a kłosy bogate zwiastowały, że są już dojrzałe; lecz ten, co rzucił ziarno, nie przybywał po plon obfity.

Bitens, dopływając często do wyspy, — którą na pamiątkę przyjaciela nazwał Polly — kazał zebrać dojrzałe ziarno i zabezpieczyć mieszkanie w skale, od wpływu słotnej pory.

Gdy ta przeszła, kazał zasiać znów pszenicę na większej przestrzeni i zbudować domek, przylepiony jak gniazdo do tej samej skały, w której były ślady mieszkania.

Pszenica po kilkakroć wyrastała na tej bujnej ziemi, zajmowała coraz to większe przestrzenie, a przyjaciel nie wracał.

Kapitan czwartą część pszenicy użył na rozplenienie jej między mieszkańcami swej wyspy, gdzie trudno rosła; resztę od zasiewów sprzedawał przybywającym z sąsiednich wysp krajowcom. Składał zaś pieniądze z tą myślą, że je kiedyś będzie mógł oddać, temu, który na dzikiej wysepce rzucił pierwsze pszenne ziarno.

— Za te pieniądze przyjaciel będzie mógł popłynąć do tych, za którymi tęsknił — myślał sobie poczciwy Bitens...

Mijały lata, a Polly nie wracał. Przybywający z Sydney mogli Bitensowi tyle tylko powiedzieć, że był tam kiedyś człowiek podobny do jego przyjaciela, lecz co się z nim stało, nikt nie wiedział.

— Zapewne popłynął gdzie dalej, mówiono; zawsze on wspomniał, że prędzej czy później za ocean ucieknie.

— A może i umarł — któż to wie; musiał być bardzo nieszczęśliwym, stronił od ludzi! — dodawali inni.

VI.

Od owego nagłego ukazania się i zniknięcia Pollego minęło lat dziesięć, kapitan przywykł do swojej kolonii i oczekiwał powrotu Harrego, który właśnie skończył uniwersytet w Oxfordzie.

Wśród prac i samotności Bitensa, rozkoszą była Mary, która wyrosła teraz na śliczną modro-oką dzieweczkę. Zawdzięczała mu życie, kochała go też przywiązaniem serdecznem; gdy jednak, zaraz po wyzdrowieniu i wyuczeniu się jako tako języka angielskiego, misyonarz chciał w nią wmówić, że kapitan jest jej ojcem, potrząsała główką i odpowiadała:

— Och, nie; ojciec mój mówiłby taką jak i ja mową, taką jak mówiła moja matka; wszakże ją pamiętam, jechałyśmy do ojca...

— To też kapitan jest twoim ojcem, tylko zapomniał dawnej swej mowy; przekonywał misyonarz.

— Nie, ojciec nie mógłby zapomnieć swojej mowy, bo i ja jej nie zapomnę.

— A z kimże rozmawiać będziesz? — pytano.

— Z kim? z tymi co są daleko; odpowiadało dziecię.

I zwykle wtedy siadała samotnie nad brzegiem morza i śpiewała drżącym głosikiem pieśń, która w ustach jej dziecięcych zdawała się być jakiemś oddalonem echem.

Mary z dziecka wyrosła na prześliczną dzieweczkę, pieśni swych nie zapomniała, tylko głos jej stawał się coraz silniejszy i piękniejszy. Krajowcy czarni i na poły dopiero ucywilizowani utrzymywali, że to pewnie jakieś duchy uczą ją tych pieśni, a czasami matka wychodzi z morza i szepce dziewczęciu swoję mowę do ucha. Mary wywierała nieopisany urok i z każdym rokiem stawała się droższą wszystkim mieszkańcom wyspy; nawet ludzie z karnej kolonii na głos dziewczęcia zaprzestawali kłótni, mówiąc, że ta dziewczyna uratowana z okrętu musi pochodzić z takiego kraju, gdzie umieją mówić wejrzeniem, a do

porozumienia się z tymi, co są daleko, pieśni im tylko potrzeba.

Pieśń dziewczęcia czasami brzmiała wesoło, często jednak wśród tej wesołości zaplątała się taka smutna nuta, że słuchającym oczy zachodziły łzami.

— Kto cię uczy ich, dziecino moja? — pytał kapitan, gładząc jej ciemne włosy.

— Kto? czy ja wiem, czasami wiatr zaszumi znajomem mi echem, czasem fala tak uderza o falę, iż słyszę kołatanie własnego serca; zresztą w duszy odzywają się jakieś dźwięki, które muszę koniecznie wyśpiewać. Wszyscy zaś co pamiętali Pollego utrzymywali, że Mary musi być z tego samego co on kraju, bo jak on z morzem rozmawia.

— Lecz on musiał już dawno gdzie zamrzeć! — dodawano z współczuciem.

(Dokończenie nastąpi.)

SIEDZI PTASZEK NA DRZEWIE.

Siedzi ptaszek na drzewie
I ludziom się dziwuje,
Że najmędrszy z nich nie wie,
Gdzie się szczęście znajduje,

Bo szukają dokoła
Tam, gdzie nigdy nie bywa,
Pot się leje im z czoła,
Cierń im stopy rozrywa.

Trwonią życia dzień jasny
Na zabiegi i żale,
Tylko w piersi swej własnej
Nie szukają go wcale.

W nienawiści i kłótni
Wydzierają coś sobie,
Aż zmęczeni i smutni,
Idą przespać się w grobie.

A więc siedząc na drzewie
Ptaszek dziwi się bardzo,
Chciałby przestrzec ich w śpiewie...
Lecz przestrogą pogardzą.

Adam Asnyk.

TRZĘSIENIE ZIEMI NA ŚLĄZKU
W ROKU 1786 i 1799.

W nocy z dnia 26-go na 27 lutego 1786 r. było w wielu miejscach na Górnym Ślązku znaczne trzęsienie ziemi. W Wodzisławiu około 1 w nocy poczęły nagle w wielu domach trzeszczeć i skrzypieć dachy, belki, ściany i drzwi. Trwał ten hałas do 3 rano. O $3^1/_2$ nastąpiło nowe wstrząśnienie, które trwało 4—5 minut. Wszystkie budynki chwiały się, sprzęty, które się w nich znajdowały, bądź to wolno leżące, bądź też przymocowane, mocno się poruszały, okna, szkła i naczynia brzęczały, a ludzie nagle zbudzili się ze snu. Każdy uciekał czemprędzej z domu. Powietrze było przytem czyste i jasne, niebo pogodne i gwiaździste.

W Głubczycach poczuto trzęsienie ziemi o $4^1/_2$ rano; kto spał, przebudził się skutkiem kołysania się łóżek, a kto nie spał, słyszał przerażający szum. W wielu domach szklanki i filiżanki brzęczały, a dzwon na wieży ratuszowej dzwonił.

Pewien dziedzic pod Kietrzem w powiecie głubczyckim nie mógł spać tej nocy z powodu silnego bólu głowy. Wstał więc, usiadł na krzesełku przy



WIELKA PANI.

łóżku gościa swego i zawołał służącego, z którym razem wszedł kot. Kot ten okazywał się bardzo niespokojnym, przebiegł przez pokój kilka razy i nagle z pode drzwi jednym ogromnym susem skoczył do pieca i skrył się pod nim. W tejże chwili cały, mocno zbudowany dom zatrząsł się. Krzesełko, na którem siedział dziedzic i łóżko, w którem leżał gość jego, zaczęły się poruszać, służący zachwiał się, drewniana posadzka, stoły i szafy zaskrzypiały, stojąca na stole porcelana i leżący na nim zegarek kieszonkowy kilka razy uderzyły o siebie, także wiszące na zwierciadle klucze uderzyły z brzękiem o szkło, a gdy spojrzano na zegarek, poruszał się jeszcze dość długo łańcuszek od niego. W tymże czasie parobcy i dziewki, jako też rządzca, włódarz i owczarze doznali w łóżkach silnego wstrząśnienia, a stróże nocni poczuli pod stopami ruch i posłyszeli skrzyp jakoby idącego w dali woza. To wszystwo trwało tylko chwilę.

W Ząbkowicach w tym samym czasie wielu ludzi przebudziło się, a ptaki w klatkach zatrzepotały się.

W Pszczynie trzy szybko po sobie następujące wstrząśnienia pobudziły ludzi, którzy z przerażeniem wyskakiwali z łóżek, w pałacu zaś dziedzica Gusnera w Pawłowicach kurantowy zegar zabił i grać począł, chociaż to było pomiędzy czwartą a piątą.

Około Nysy, Raciborza, Głogówka, Opola i Brzegu było słabsze trzęsienie ziemi, mocniejsze natomiast na Slązku austryackim, w wielkiej części Moraw, w hrabstwie Kłodzkiem i w sąsiednich miejscowościach czeskich. W Neu-Heide w hrabstwie Kłodzkiem nagle wielka moc wody wypływać zaczęła z niewielkiego źródła, co prawie pół dnia trwało.

Najsilniejszem było wówczas trzęsienie ziemi w Krakowie. Tam podczas samego nabożeństwa w Katedrze wielki ołtarz chwiać się począł, co tak przeraziło ludzi, że hurmem uciekali z kościoła.

Także dnia 11-go grudnia 1799 r. o godzinie 4 po południu nastąpiło trzęsienie ziemi, ale tą razą tylko w hrabstwie kłodzkiem, w górach olbrzymich i około Świdnicy. W Hradku (Wünschelburg) zadrżały domy, szklanki i talerze w szafach zderzyły się, lekko podparte przedmioty obaliły się. W Jeleniogórze usłyszano silny trzask pod podłogami, w Krzyżoborzu (Grüssau) zaś podziemny łoskot jakoby pochodzący od wyładowanego czworokonnego wozu, a zaraz potem zachwiał się budynek klasztorny; w Schönbergu roztwarły się zamknięte drzwi, a w Gnojnie (Obersdorf) pod Rychbachem przechyliło się w tył krzesełko, na którem siedział pastor Hoffmann, autor Historyi Ślązka i opowiadacz tego wypadku, tak, że myślał, iż ktoś z towarzystwa psotę mu wyrządza. Nigdzie jednak większej szkody nie było.

BRONISŁAWY.

GÓRA BŁOG. BRONISŁAWY.

(LEGENDA).

Za dawnych, bardzo dawnych czasów, gęsty bór obrastał górę Sikornik. Jedna tylko ścieżka od strony zwierzynieckiego klasztoru, świeciła białym piaskiem, wijąc się pod górę między cieniami zarośli, i dopiero u samego szczytu ginęła przed progiem pustelniczej chatki.

Kilka wyrąbanych modrzewi i brzóz tworzyło koło niej niewielki majdanek, usłany gęstą i równą murawą. Przy wytrzebieniu, jakaś pobożna ręka ochroniła kilka krzaczków dzikiej róży, które z kępinkami macierzanki i roschodnika, miłą wonią napełniały tę ustroń oparkanioną wysokiemi drzewami. Zapewne z owych modrzewi powstała ta kapliczka, a raczej pustelnia o jednem okienku skleconem z okrągłych szybek, o jednych

drzwiczkach z niskiemi odźwierki a wysokim progiem, i z pozłacanym krzyżykiem, który jak gwiazdka z słomianego daszku połyskał onym ludziom, co tam pracują na polu.

Dzień się miał ku schyłkowi, a dzień upalny i długi, — kiedy osoba klęcząca na kamieniu, który tuż przy pustelni z ziemi wyrastał, — podniosła białe i pogodne czoło, ukryte w dwóch dłoniach równie miękkich i białych. Na długich rzęsach ocieniających oko, wisiały jeszcze dwie kropliste łzy, a w rysach dziwną słodyczą i okrągłością zarysowanych, mieściła się boleść, a razem proźba gorąca, żarliwa, wołająca całym głosem duszy, w to niebo, tak wypogodzone, takie głębokie i przejrzyste, że pokutnica zdawała się wprost rozmawiać z aniołami i świętymi pańskimi.

Po tem wzniesieniu ducha w szczytniejsze krainy, oczy jej zniżyły się ku ziemi, na dół, kędy pomiędzy rzadsze gałęzie przezierał Kraków ze wstęgą wiślaną, z górą zamkową i mnóstwem wieżyc i dzwonic świecących złotem krzyża i srebrem blaszanych kopuł. Czegoż tam patrzy tak pilnie? Ona, co włosienicą, co żelaznym biczem, postami i tą klasztorną zasłoną na zawsze odgrodziła się od reszty świata? Jakiż przedmiot chce rozeznać przez tę lekkuchną mgłę dymu i kurzu, co jak pajęcza tkanka rozwlokła się nad miastem? Czy pochwytuje te dalekie, rozsypane, zgiełkliwe odgłosy? — ten ryk bydła, brzęk kós na łące, z Wisły nawoływanie włóczków, z Krakowa grubsze i cieńsze jęki dzwonów, i pieśni procesyonalnych. Aż się wspięła na palcach, z głowy odrzuciła zasłonę,... tak wnika w ten zgiełk uliczny... I oto, jakby znalazła swój przedmiot, jakby usłyszała przeczuwane hasło, klasnęła dłonią w dłoń, załamała ręce ku górze i jękiem rozdartego serca wyrzekła:

— Już kona! już mu w sygnaturkę dzwonią... tam z kościoła ś. Trójcy!... Panie! Panie! przyjmij tę duszę, na twoje święte łono...

I znowu zasłoniła bledsze teraz oblicze, znowu kolana usunęły się do klęczenia, czoło ukryte w dłoniach, a po wydartym kamieniu spływała rzeczka łez gorących.

U furty klasztoru zwierzynieckiego zalegającego gotycką swoją budową podnóże góry, zdyszane pacholę ciągnęło mocno za dzwonek. Furtyanka wyszła i pyta, co ma tak pilnego?

— Z panną ksienią chcę mówić — odpowiada pacholę.

Niebawem wyszła ksieni do kraty w towarzystwie kilku panien Norbertanek.

— Cóż nam zwiastujesz, mój synu? — zagada.

— Smutną wieść! — odeprze pacholę. — Przewielebny ksiądz Jacek, przeor Dominikański, tylko co Bogu ducha oddał; mnie w skok tu wyprawiono do siostry Bronisławy, z doniesieniem o śmierci jej brata.

— Wieczne mu odpoczywanie! — zawołały zakonnice — Święty mąż prosto pójdzie do nieba; ale kędyż jest siostra Bronisława?

— Trwa jeszcze na modlitwie w swojej pustelni, na górze — odrzekła któraś z zakonnic.

— Ciężko się zmartwi stratą ukochanego brata! Módlmy się, by z pokorą i mocą zniosła ten krzyż utrapienia.

Po tych słowach przełożonej i za jej przykładem, panny uklękły, i w cichej modlitwie prosiły o miłosierdzie Boskie nad nieboszczykiem, i o moc wytrwania dla nieszczęśliwej siostry.

— Otóż i siostra Bronisława ku nam zstępuje, — odezwie się jedna z zakonnic, wyględując przez kratę.

— Siostro! Siostro! uzbrój się, ręka Pańska ociężała nad tobą; bo oto w tej chwili, Pan powołał do chwały swojej...

— Księdza Jacka, jedynego brata! — przerwała przytłumionym głosem — opłakałam go, poleciłam Panu w gorących modlitwach.

— Jakżeż się to zgadza? — mówiły zdziwione zakonnice, — przecież dopiero co dominikański służka przeniósł wiadomość?

— Widziałam w duchu konającego na łożu śmierci, widziałam anioła pań-

skiego, jak zstąpił i przyjął go w swoje objęcia...

Wyrazy te wyrzekła spokojnie i z taką pewnością, że zakonnice nieśmiały nastawać zapytaniami, tylko poglądały po sobie i po niej z ukradka, jakby okazując niedowierzanie; znalazły się i takie, co mówiły, szeptając: »Cud li to, czy też siostra Bronisława ma się za świętszą od nas?«

Gdy ze zbliżającym się mrokiem, dzwonek zgromadził wszystkie panny na wieczerzę do refektarza, kilkadziesiąt Norbertanek w białych habitach i czarnych zasłonach zasiadło u długiego dębowego stołu, pożywając mleko i rybę. Siostra Bronisława wymówiła się przed panną ksienią od wieczerzy i stanęła w otwartem oknie, zkąd był widok na ogród klasztorny i na widokrąg oblany teraz czerwonością zachodzącego słońca.

Milczenie panowało ponure w licznem zgromadzeniu, żadnej rozmowy, żadnych frasowań i napomnień ze strony ksieni, zdawało się, że wszyscy dzielili stratę i żałobę jednej ze swego grona, i że pytali ją współczującemi spojrzeniami: jakby ci można ulżyć siostro nasza?

A ona tymczasem, jak który z posągów kamiennych u ołtarza, nieruchomie stała, trzymając w ręku różaniec, usta nawet nieruszały się, choć przez nie wychodziła modlitwa, a oczy niebieskie, jak przybite tkwiły na wysokościach błękitu... Ale cóż to za nagłe wstrząśnienie przebiega jej członki? Cóż znaczy ten wyraz lica i ten wzrok ożywiony, który uczepił się maleńkiego obłoczku unoszącego się nad miastem? Kto inny wziąłby go za parę. Skłębiony, gnany od wieczornego powiewu ku górze, i jak bańka mydlana przerzucający się różnemi barwami tęczy pożyczonemi od promieni zachodu — ale dla niej — to cud nowy! Oto twarz jej, przed chwilą tak martwa, powlokła się gorącym rumieńcem, — usta drgały, jakby tysiące słów przez nie leciało, a przecież głosu nie mogły wydać, a oba ramiona wyciągnięte ku górze chciały coś z powietrza zachwycić, przyciągnąć, przycisnąć..., po chwili dopiero tej wewnętrznej walki, z głębi ugniecionej piersi wykrzykła na cały refektarz:

— Patrzcie! patrzcie! Siostry moje! Oto księdza Jacka aniołowie niosą do nieba.

Na te słowa wszystkie panny zerwały się od wieczerzy i tłumem biegły do okien, wspinając się to na palcach to na ramionach, aby ujrzeć dziw tak niesłychany.

— Widzicie — mówiła w zachwyceniu Bronisława. — Widzicie ten promienny pierścień nad jego głową, on święty! Biała szata spływa mu do nóg, w prawicy palma, on anioł!

Na niebie tylko jeden był widny obłoczek żeglujący ku górze, przecież całe zgromadzenie wpatrzyło się weń, jak w obraz cudowny, potem uchyliwszy głów w pokorze, powtarza: Cud! Cud! Księdza Jacka aniołowie niosą do nieba!

Wiara siostry Bronisławy udzieliła się wszystkim. Cóż dziwnego? Ojciec Jacek Odrowąż słynął z wielkiej świątobliwości za życia, apostołując na Rusi i Litwie dla nawracania odszczepieńców i pogan; za cóżby niemieli go nieść cherubowie na skrzydłach do raju?

Jedna tylko siostra Gertruda nie dzieliła powszechnego zapału: choć wszystkie odbieżały stołu, ona sama, chowając obojętność, została się przy resztkach wieczerzy, i dopiero w końcu jakby lekceważąc ciekawość zakonnic i swoją własną, zbliżyła się niedbale ku oknu, mówiąc:

— Puście mię, niech też i ja coś obaczę nowego.

Gdy się jej rozstąpiono, ona poglądając na obłok, zawołała z szyderskim uśmiechem niedowiarstwa:

— Nic ja tu nie widzę, ani księdza Jacka, ani aniołów.... Siostro Bronisławo! musiałaś oszaleć, a wy za nią.

Na te wyrazy, siostra Bronisława, jakby obudzona z nadziemskiego zachwytu, zwróciła się ku mówiącej z spojrzeniem pełnem litości, któremu towarzyszyło westchnienie...

I oto nowy cud się okazał! Dziwna jakaś przemiana zachodzi w twarzy blu-



BŁOG. BRONISŁAWA.

(Obrazek z „Dziejów Śląska.")

źniącej zakonnicy: oczy jej wyłupiły się z powiek, i biegają obłędnie, jak żywe srebro, usta śmiechem chychoczą; skromna i wstydliwa oblubienica boża, stroi wszeteczne postawy.

I wszystko, co żyje ucieka od niej z wielkim krzykiem:

— Siostra Gertruda szalona!

— Szalona! — powtórzyły wielokrotnem echem mury klasztorne.

Odtąd, a już piąty wiek idzie, jak między Norbertankami na Zwierzyńcu, zawsze jedna musi cierpieć pomięszanie zmysłów...

Ręka sprawiedliwego Boga, ciężkiem piętnem kary naznaczyła niedowiarstwo.

L. Siemieński.

PRYMAS.

Podług prawa kanonicznego prymasem zowie się pierwszy biskup w kraju. Tak w Hiszpanii prymasem bywał arcybiskup toledański, w Węgrzech strygoński, w Polsce gnieźnieński. Pierwszym arcybiskupem gnieźnieńskim, który wyrobił sobie tytuł prymasa, był Mikołaj Trąba.

Atoli już za doby Piastów arcybiskup gnieźnieński miał prawo starszeństwa nad innemi biskupami i pełnił obowiązki Interreksa czyli Bezkróla, godził spory o dziesięciny i t. d. Pierwszym książęciem był arcybiskup gnieźnieński od czasów Kazimierza Wielkiego. Prymas najpierwszą po królu zajmował polityczną godność w państwie. Od czasu nawrócenia się Litwy, biskup wileński i żmudzki należeli do jego prowincyi, która sięgała po krańce państwa Jagiełłowego za Dźwinę i po Smoleńsk, a Litwa przestrzegała gorliwie tego związku z Gnieznem. Jan Łaski stanowi w dziejach prymasowstwa epokę. Wizytuje biskupa wileńskiego, wznawia stary zwyczaj, że arcybiskupi wyświęcali wszystkich sufraganów w Gnieźnie, pozyskuje przewagę nad metropolitą lwowskim (który jednak niezależnie rządzi swymi biskupami: przemyskim kamienieckiem, chełmskim, łuckim i kijowskim), zwołuje sejmy duchowne, czyli synody. Prymasi wybierali marszałków swego dworu z pomiędzy kasztelanów, więc senatorów koronnych. Marszałek taki był dostojnikiem nawet wobec króla, nieraz nosił przed królem laskę lub berło i zastępował marszałków koronnych. Dalej prymas uzyskał prawo zwoływania senatu na radę prywatną, co podnosiło wielce jego znaczenie polityczne. Zwoływał sejmy elekcyjne i przewodniczył na nich, ogłaszał narodowi i koronował króla i królowę. Sam jeno prymas mógł nie stawać przed sądami, tylko przez zastępców. Był prezesem senatu, a nawet mógł zwoływać prywatne narady senatorów wbrew królowi, gdyby król prawo łamał. Kto w obecności prymasa zuchwale mówił lub miecza dobył, był karany. Naczelnik kościoła polskiego miał w uposażeniu swojem Łowicz, prawie udzielne księstwo, a Kazimierz Jagielończyk uwolnił go nawet od płacenia grzywny podatkowej. Ogółem liczono, że prymas posiadał 360 wsi, kilka miast i do miliona dawnych złotych polskich dochodu. Od r. 1632 przydawano podczas bezkrólewia prymasowi konsyliarzów z obudwu stanów, senatorskiego i rycerskiego, w czasie zaś pospolitego ruszenia dodawano do jego boku rezydentów. Za Jana Kazimierza biskup wileński Jerzy Białłozor przezwał się prymasem Litwy i tytuł ten kładł na swoich pismach urzędowych. Odtąd biskupi wileńscy nie przenosili się już nigdy na wyższe biskupstwa do Polski. Do potężnego stanowiska podniósł prymasostwo polskie znakomity Olszowski za Jana Kazimierza i Michała Korybuta. Nazywał się Olszowski: V i c a r i u s R e g n i, t. j. namiestnikiem Królestwa. Cesarz i król francuzki zwali go pierwszym książęciem, kancelarya koronna i ministrowie cesarscy zawsze piszą do

niego Celsissime Princeps a w ciągu Celsitudo Vestra. W całej Europie poważano Olszowskiego, tylko jeden elektor brandenburski odmawiał mu tytułu pierwszego księcia, tłómacząc się tem, że na mocy prawa z r. 1525, jemu jako księciu pruskiemu, należy się pierwsze miejsce w radzie Korony polskiej i dostojność pierwszego księcia. Hetmaństwo i prymasostwo stoją obok Korony jako niezawisłe, samodzielne władze. Prymasowstwo na tem stanowisku wyrabia sobie do pomocy wiceprymasostwo, które z urzędu dostaje się biskupowi kujawskiemu. Prymas w czasie nieobecności królewskiej bywał bezkrólem, co oznaczało w narodzie najwyższą patryarchalną godność. O niego wtedy opierało się wszystko jak o króla i hetmana. Bez prymasowstwa nie można rozumieć dawnej Polski. Prymasowstwo i hetmaństwo w gmachu Rzeczypospolitej stały się głównemi wiązadłami między tronem i wolnością. Cały naród znał prymasa i cześć mu oddawał a przy wstąpieniu na stolicę miał być zwyczaj, że każdemu prymasowi i biskupowi krakowskiemu posyłano w darze białego rumaka (Winc. Pola: »Sejmik w Sądowej Wiszni«).

Ostatnim prymasem majestatycznej świetności był w czasach saskich Łubieński, który nawet nie czekając na wybór króla, rozdawał posady w czasie bezkrólewia. Prymasi wKsięstwie Warszawskiem i Królestwie kongresowem nie posiadali żadnego znaczenia politycznego.

TARGOWA PRZYGODA BARTOSZA.

POWIEŚĆ LUDOWA.

(Dokończenie.)

»Słowo honoru!« odpowiedział tamten, i w tym momencie straszne orlisko nadstawiło mi swego grzbietu. Ja nie wiele myśląc, skłoniłem mu się nisko do nóg, a potem wewaliłem się śmiało na niego i uchwyciłem za szyję. Raz tylko machnął skrzydłem, gdyby śmigą od wiatraka, a już wzbił się het tam w powietrze ze mną, jak gdyby z dudkiem.

»Ależ jaśnie wielmożny orle, (byłem bowiem całkiem w jego mocy), gdzież to u kata lecicie, wszakże ja was prosiłem tylko o przeprawę do mojej chałupy; przecie moje gniazdo nie na skale pod obłokami zawieszone; jeżeli więc pozwolicie sobie powiedzieć.

»Milcz przeklęty gaduło!« ofuknął mnie tenże, »a trzymaj się dobrze, byś nie zleciał i karku nie skręcił. Albożnie widzisz strzelca z fuzyą wynurzającego się z krzewiny. W samej rzeczy! tego by jeszcze potrzeba, żebym sobie dał wpakować nabój loftek dla takiego, jak ty, szubrawca! A któż ci zaręczy, żeby się i tobie nie dostało.«

Nie było co na to powiedzieć, choć wyznać muszę szczerze, że mi się nie bardzo spodobał ten ton pański, szafujący obficie tak pięknemi tytułami. Cóż było jednak robić. Połknąłem gorzką pigułkę, choć czułem w sobie chętkę nakręcić temu urwiszowi karku, który był w mojem ręku. Pomny jednak na moje własne dobro, spuściłem nos na kwintę i odezwałem się tonem pokornym:

»Ależ zważcie jaśnie wielmożny orle, że już moja nizka chatka znikła mi zupełnie z oczu. Gdzież-to lecicie jak oparzeni?«

»Tam do kata, jaki mi zuch! Mówię ci po raz ostatni, obwiesiu, siedź spokojnie; bo jak cię kopnę nogą, to zlecisz na łeb, i zetrzesz się na miazgę, iż ani ziupniesz!«

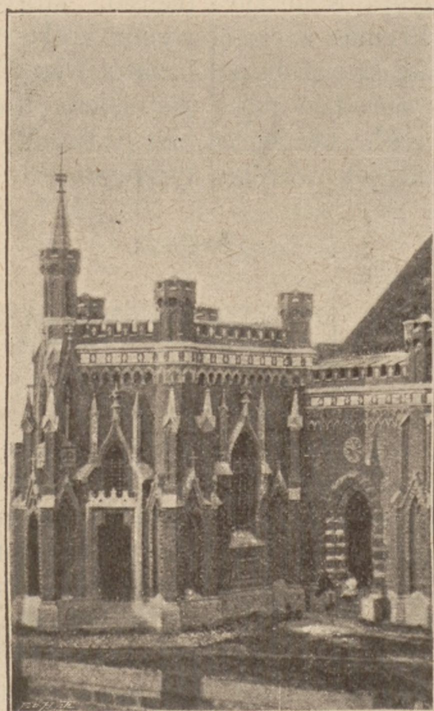
Pomyśliłem sobie: Przeklęta gorzałko! do czegoś ty mnie przywiodła. Bartoszu! mogłeś sobie spokojnie chrapać przy piecu na ławie, a teraz jak włóczęga jaki wałęsasz się po nocy. Czy mnie licho opętało! Tu między kaw-

kami wietrzno i mglisto; a co gorsza, mój znarowiony wierzchowiec bardzo mi się coś rozbrykał; gdybym go się tak moćno nie trzymał, jużby mnie był podobno dawno z siebie zrzucił.

»No! cóż tam sobie pomrukujesz, przebrzydły opoju!« odezwał się znowu do mnie. »Tobie dobrze siedzieć, ale mnie dźwigać takiego bałwana! już mi skrzydła mdleją; szczęściem, że oto księżyc niedaleko; musisz się na moment za róg uchwycić, aż sobie trochę wytchnę.«

Nie chciałem na to przystać bo mi, się wcale nie podobało, że mam dyndać i nogami w powietrzu przebierać jak wisielec; a do tego mam garścią chwytać za ten sierp błyszczący. Lecz wiele ten z siebie zrobi, co musi; albowiem dolatując właśnie do samego miesiąca, tak się gwałtownie otrząsnął, żem mimowolnie uchwycił za róg księżyca i zawisnąłem w powietrzu.

»Do szczęśliwego zobaczenia!« zarzegotał się szatańskim śmiechem mój powietrzny woźnica; »pozdrówcie odemie waszą, jak ją zobaczycie, i powiedzcie jej, że skoro będę miał naprawione moje różki u figury za karczmą, to was znowu spuszczę na ziemię, tymczasem możecie sobie trochę podyndać, i czekać na inną jaką sposobność.«



Kapliczka błog. Bronisławy u stóp kopca Kościuszki w Krakowie.
(Obrazek z „Dziejów Ślązka.")

O urwiszu, obwiesiu, cygańsko duszo! żebyś z piekła nie wyjrzał! tak to umiesz zwodzić poczciwych ludzi? Naklałem mu do woli, co mi tylko ślina do gęby przyniosła, bo i nie miałem już przyczyny go ochraniać.

Gdym go tym sposobem pożegnał, obróciłem oczy moje na miesiąc, szukając zkąd jakiej pomocy: aż tu potężne chłopisko gnój z kupy rozrzuca.

»Szczęść Boże« rzekłem, chcąc z nim zacząć rozmowę; a lubo mi ledwo odmruknął: »Daj Panie Boże!« pytałem dalej: »jak się miewacie? co porabia wasza? czemuż to tak usilnie pracujecie, jak gdyby wam podstarości stał z batogiem na karku. I, dali-byście robocie pokój; proszę was oto na tabaczkę, i opowiem wam moją przygodę«.

Ale ów mrukliwy gnojek, jak gdyby tego nie słyszał, nie ustając bynajmniej w pracy, odezwał się do mnie groźnie:

»A ja wam mówię Bartoszu, idźcie sobie precz! niema tu dla was miejsca.«

»Poszedłbym bardzo chętnie, żebym tylko mógł«, odrzekłem jeszcze pokornie, »przecie wam tu nie wiele zawadzam, gdy się troszeczkę różka miesiąca czepiam.«

»A właśnie ja na to żadną miarą właśnie zezwolić nie mogę; miesiąc mógłby się przegibnąć na jednę stronę, tobym i ja się skulnął. Idźcie sobie precz, mówię wam po raz ostatni!«

Już mnie też niecierpliwość wzięła; widzę że to niepeć, i odparłem groźno:

»Ej, co mi tam! komu się tu nie podoba, niech sobie idzie precz; ale ja się tu zostanę. Widzisz go, jaki mi zuch! Wiedz-że miesięczny drągalu, że mnie teraz sam pan niema do rozkazania, a cóż dopiero taki drab i grzesznik jak ty jesteś! Myślisz pewnie, że ja nie wiem, coś ty zacz? O znam ja cię dobrze, ptaszku; i słyszałem ja nieraz od mego poczciwego tatusia, Boże świeć nad duszą jego, o twojem uka-

raniu.*). Jeżeli więc dla przebydłej chciwości, cierpisz bożą karę, nie pomnażaj winy nieludzkiem twojem z bliźnim obejściem; zwłaszcza, że tu zapewne rzadko kiedy kto nadużywa twej gościnności.«

Lecz ten niegodziwy mruk od gnoju ani słowa na moją perswazyę tak gruntowną nie odpowiedział; ale podniósłszy swoje widły do góry, gruchnął z całej siły w róg, za który się trzymałem. Róg się naturalnie ukrychnął, a ja trzymając go w rękę, het znowu z powrotem.

»Szczęśliwa droga, Bartoszu!« zawołał niegodziwy ten człowiek; »pozdrówcie swoją ode mnie; a nie spieszcie się tak prędko, bo wam tchu przybraknie.«

Chciałem mu należycie odpowiedzieć, bo wiecie, że nie lubię chować w kieszeń takich przekąsów; ale byłem zbyt sobą samym zajęty, przewracając się jak snop słomy, to głową, to nogami na dół. Aż w tem coś zaszumiało i zagęgało mi koło uszu. Myślę sobie, dobre spotkanie, to zapewne sznur dzikich gęsi także w podróży do cieplic. I nie omyliłem się, a stary gąsior na przodzie odezwał się do mnie:

»Ha Bartoszu, jak się macie? co porabia wasza i dzieci, czy wszyscy zdrowi?«

Opowiedziałem, że wszystko, chwała Bogu zdrowe. Zagadnienie takowe nie zdziwiło mnie bynajmniej, gdyż same dziwy działy się ze mną; nie uderzyło mnie więc wcale, że gąsior tak łaskawie do mnie przemówił, jakobyśmy się już oddawna znali.

»A zkąd to,« zapytał dalej »i dokąd tak spiesznie?«

»Lecę sobie na ziemię z miesiąca,« odrzekłem, »dokąd mnie niegodziwe orlisko, pomimo mej woli zaniosło, i zacząłem mu od samego początku opowiadać, jak'em trochę w szynkowni miarkę przebrał i jak mi się w głowie kręciło.«

*) Wieśniacy powszechnie mniemają, że plamy na księżycu i słońcu wyobrażają chłopa i jego żonę, gnój rozrzucających, których Pan Jezus tam przeniósł, za karę, że poszli w Niedzielę podczas nabożeństwa gnój rozrzucać.

»No, kiedy nie macie pilniejszego interesu, to się uchwyćcie za moję nogę; polecicie w naszej kompanii.«

Pochwyciłem go mocno za stopę i lecieliśmy razem chyżem lotem i złamanym sznurem za gąsiorem ja i inne gęsi.

Po małej chwili zaleciało mnie coś i połechtało po nosie, jak gdyby moja stara szperkę na tygielku smażyła.

»Stójcie, gąsiorku« zawołałem na mego lotnego przewodnika, »a wszakże to moja chałupa; pozwólcie mi na nią się spuścić.«

»Gdzie tam, Bartoszu! przetrzyjcież dobrze oczy, a zobaczycie, że tuż kałuża pod nami; gdybym was spuścił, to pluśniecie jak szczupak.«

Przecie ja to muszę lepiej wiedzieć, gdzie moja chałupa; bo mnie już, prawdę powiedziawszy, niecierpliwość brała, że mnie jeden gąsiorek chciał rozumu uczyć; a prócz tego już tyle razy sparzony, nie ufałem zgoła nikomu. Nie wiele więc myśląc, puściłem z garści gęsią stopę i — klap — plusnąłem w samą kałużę. Tą razą miał dalibóg gąsior słuszną racyą!

»A ty niegodziwy opoju, chrapisz jak zarznięty, ze łba ci się jak z komina kurzy, już słońce ma się ku południowi, a ty jeszcze pod płotem od wczoraj kiermaszujesz! Koniska same się przywlekły; półkoszki, drabki od woza pogubiły; dziś pogoda piękna, czas wyjść z kosą w pole, a ty zalawszy pałę gorzałką, w najlepsze chrapisz! O! bodaj przepadło przeklęte gorzałczysko! Tyle razy ci mówiłam, że nas zgubisz twem opilstwem; a ty, jakbyś się na własną ruinę uwziął, nie opuścisz i jednego Poniedziałku, żebyś się nie upił, iż nie wiesz i o bożym świecie.«

Poznałem zaraz przenikliwy głosik mej Marysi, a przetarłszy oczy, przekonałem się, że nie leżę w kałuży, lecz że moja powracając z konewką wody od stoku i widząc mnie leżącego pod płotem, sprawiła mi tę orzeźwiającą kąpiel. Nie odrzekłem tą razą i słowa, lecz jak zmyty, wcisnąwszy czapkę na uszy, poszedłem naklepać kosę.

Opatrzność Boska czuwa.

Opowiadanie z czasów ostatniego prześladowania chrześcian w górach Libanon.

(Ciąg dalszy.)

— Maronie! — zawołała wdowa przerażona, cofając się od młodego Turka, — słyszysz? Jego własny ojciec, ojciec twojego przyjaciela, mordował chrześcian, a ty...

— Już wam powiedziałem, mateczko, odpowiedział na to Maron, że Ali nie myśli tak, jak jego ojciec.

— Czy to prawda? — zapytała wdowa.

— Tak jest dobra pani, — odpowiedział Ali smutnie. Maron mówi prawdę. Ja potępiam mojego ojca i jego okrutną zaciekłość naprzeciwko chrześcian. Nie cierpię brata mego Hakema, który własną ręką więcej niż trzydziestu chrześcian oślepił a potem przebił. Nie cierpię Muzułmanów, których religia na takie zbrodnie pozwala.

— Młodzieńcze, odrzekła na to wdowa, jeżeli tak jest, jak mówicie, natenczas chętnie pozwalam na to, aby Maron był waszym przyjacielem. Ale w takim razie możecie też z nami się modlić, bo modlitwy przedewszystkiem nam potrzeba, ażebyśmy się dobrze na śmierć przygotowali.

To powiedziawszy rzuciła się wdowa przed obrazem Ukrzyżowanego i figurą Matki Boskiej na kolana i głośno zaczęła odmawiać litanię, a potem modlitwy.

Maron i Judyta uklękli obok matki a nigdy w życiu zapewnie nie modlili się szczerzej i goręcej, jak teraz, gdy pierwsze krwawe prześladowanie się zaczynało. Za nimi stał Ali, nie wiedząc, co uczynić. Czy miał tu pozostać i modlić się z chrześcianami, albo czy miał się oddalić? Wszakże nie był chrześcianinem, lecz i Muzułmaninem już także nie był zupełnym. Głosy modlitwy trzech osób klęczących wzruszyły go wielce. Ukląkł, spuścił głowę i słuchał uważnie modlitw chrześciańskich, słyszanych tutaj po raz pierwszy. Klęczał dość długo.

Wtem doszła z dala wrzawa wielka i dały się słyszeć krzyki wielu ludzi.

Przestraszony powstał, wołając:

— Co to? Zdaje mi się, że nadchodzą w tę stronę.

Wdowa i dzieci jej także nadsłuchiwali z trwogą, powstawszy z klęczek. Coraz więcej zbliżał się hałas i coraz wyraźniej słychać było okrzyki: — Śmierć chrześcianom!

Już sąsiedzi zacząwszy się trwożyć, zamykali drzwi mieszkań swoich. Zgrzyt zamykanych zamków dawał się słyszeć. Uciekający chrześcianie przebiegali ulicą lub pukali do drzwi zamkniętych, pełni trwogi i drzący, chcąc się schronić przed goniącym ich motłochem.

Ali i Maron zasunęli wrzeciądze bramy i założyli silne, grube belki przede drzwi. Właśnie też wrzawa już była całkiem blisko. Mógłby kto myśleć, że to gromada głodnych wilków się zbliża, tak wyli Muzułmanie. Tedy owedy huknął strzał, to znów okrzyk o pomoc albo ostatni jęk umierającego. Już są całkiem blisko! Boże, co się stanie? Teraz już tuż, tuż przed domem...

Przechodzą, przechodzą! Wrzawa się oddala coraz bardziej.

Gdy na dworze zupełna cisza nastała, odezwał się Ali:

— Wyjdę zobaczyć, co się stało.

— Pójdę z tobą, — rzekł na to Maron.

— Nie, nie, — prosił Ali, — zostań tutaj i czuwaj nad twoją matką i siostrą. Gdy się dowiem, że wam niebezpieczeństwo grozi, przybiegnę i wskażę wam drogę do ucieczki.

— Żałuję bardzo, rzekła na to wdowa, że dla nas podajecie się w niebezpieczeństwo. Skoro Turcy to zmiarkują, jesteście zgubieni i wtedy tem więcej będę nad tem ubolewała, że umrzecie bez chrztu świętego.

— Nie troszczcie się o mnie, odpowiedział Ali, nazwisko ojca mego i mój strój uchronią mnie przed napaścią. Lecz — módlcie się za mnie!

Maron wyprowadził go następnie na podwórze, zkąd furtką dostał się na tylnę uliczkę. Zanim się pożegnali, rzekł Ali do Marona:

— Przyjacielu, jeśli wy będziecie musieli uciekać, to i ja ucieknę, albowiem ja nie mam już domu rodzicielskiego.

Maron powrócił smutny do matki i ukląkł znowu przed obrazem matki Boskiej Bolesnej. Wszyscy troje błagali Pana nad Panny o opiekę przed grożącem im niebezpieczeństwem, o siłę, gdyby także umrzeć musieli, mianowicie zaś o pomoc Boską dla biednych braci chrześciańskich, wystawionych na prześladowanie niewiernych.

II.

W dolinach i wyżynach gór Libanon mieszkają od dawna dwa szczepy zupełnie od siebie różne: chrześciańscy Maronici i na pół dzicy Druzowie. Między tymi narodami panuje od 800 lat straszliwa nienawiść i nieomal ciągła wojna.

Z razu tak nie było. Wtedy byli Maronici, którzy już od dawnych lat wiarę katolicką przyjęli, jedynymi panami gór. Zawsze trwali oni wiernie w wierze i mimo wielkich prześladowań i pokus Turków i Arabów do dziś w wierności pozostali. Nawet gdy w dawnych czasach heretyccy nauczyciele z Konstantynopola do nich przybyli i do wyłamania się z pod władzy Papieża ich namawiali, prostoduszni a pobożni mieszkańcy gór nie dali się do tego nakłonić. Główna w tem zasługa świętego pustelnika, Marona, który około roku 420 po Chrystusie w pewnej pieczarze góry Libanon żył i kazaniami i własnym przykładem rodaków w prawdziwej wierze utwierdzał. Od jego miana pochodzi nazwa Maronitów.

Aż do roku 1000 po Chrystusie żyli Maronici pod różnymi władzcami dość spokojnie w skalistych swych górach. W tym roku przywędrował pewien szczep arabski z południa w te okolice. Byli to Hakemici czyli Druzowie, dzika i krwi chciwa sekta muzułmańska. Od tego czasu musieli Maronici dzielić się swoją własną ojczyzną z tymi przybyszami, którzy jakkolwiek w mniejszości, skutkiem wrodzonej dzikości i zuchwałości niebawem niejako panami tej krainy się stali.

Nad Druzami i Maronitami panowali w ostatnich stuleciach książęta z rodu arabskiego Szebabów. Nazywano ich emirami. Jednym z największych okrutników między tymi emirami był emir Beszir, który chcąc przyjść do majątku i panowanie swoje nad Maronitami upewnić, wielu swoim przeciwnikom a także i członkom swojej własnej rodziny oczy kazał wyłupić i ręce uciąć. Panował od roku 1800 do 1840 i w tym czasie okrucieństwem i wyciskaniem pieniędzy nieraz do takiej rozpaczy biednych Maronitów doprowadzał, że powstawali przeciwko niemu z bronią w ręku. Lecz niestety zawsze pobici, na nowo ujarzmieni i dziesięćkroć wyższymi podatkami obciążeni zostali.

Nakoniec w roku 1840 Austryacy i Anglicy przybyli z okrętami i żołnierzami Maronitom na pomoc i uwolnili kraj od nieznośnego tyrana. Emir Beszir musiał się zrzec godności książęcej i poszedł w niewolę angielską. Lecz Maronici nie zostali wolnymi, jak tego pożądali, albowiem kraj ich dostał się pod panowanie Turków, którzy wprawdzie się z nimi nie tak surowo obchodzili, lecz skutecznej obrony przed napadami Druzów im nie udzielali. Gdy Maronici do Francyi o pomoc się udali i ztamtąd ją otrzymali, wzbudzili podejrzenie Turków i Druzów, którzy się obawiali, ażeby rząd francuski całej Palestyny prowincyą swoją nie uczynił.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

* DOBRE KSIĄŻKI. *

Nakładem K. Kozłowskiego w Poznaniu (ul. Długa 8) wyszło bardzo pożyteczne dziełko pod tytułem: **Złota książeczka,** zawierająca piękne przykłady o czwartem przykazaniu Bożem, zebrane umiejętnie przez ludowego pisarza *J. Chociszewskiego* z dziejów starożytnych, z historyi biblijnej i wspomnień narodowych. Czytelnik znajdzie w niej cały szereg mężów znakomitych, między nimi papieży, biskupów, księży, cesarzy, królów, wojowników, uczonych i prostaczków, którzy jako dobre dzieci spełniali czwarte przykazanie. Znajduje się też osobny rozdział o czci uczniów dla nauczycieli i o służących, którym chlebodawcy zastępują rodziców, wreszcie przykłady o karach i nieszczęściach ponoszonych przez złych synów i złe córki. Oto niektóre napisy artykułów: *O młodzieniaszku, który nigdy rodziców nie zasmucił. Jak Papież Urban IV uszanował Ojca. Dobra córka idzie z ojcem na wygnanie. Cesarz Konstantpn jako wzór czci synowskiej ku matce. Królowa angielska. Księżna Elżbieta Czartoryska. Szlachetny rys z życia Franciszka Józefa, cesarza Austryackiego. Historya o kuśnierzu i jego dzieciach.* — Księdza *K. Antoniewicza* piękny a mało znany artykuł: *Jestem sierotą.* Na szczególniejszą uwagę zasługuje życiorys matki księdza *Biskupa Hołowińskiego,* zwany perłą piśmiennictwa polskiego. Również znakomitą jest rozprawa *hr. Andrzeja Zawojskiego: „O obowiązkach dzieci dla rodziców.“* Są także piękne wierszyki dla dzieci *Jachowicza, Chęcińskiego* i *Władysława Bełzy,* którzy licznemi utworami swoimi wzbogacili literaturę dla młodzieży.

Złotą książeczkę uważamy za bardzo pożyteczną, dla tego polecamy ją gorąco czytelnikom naszym. Złe, które się coraz więcej rozwielmożnia, jak obojętność dla religii, rozluźnienie obyczajów, brak uszanowania dla rodziców i starszych osób, a nawet liczne zbrodnie, które popełniane bywają przez małoletnich, pochodzą głównie stąd, że zawczasu nie wszczepiano w młode serca *zasad religii i czci należnej dla rodziców,* że ich nie uszlachetniano, ale zostawiono odłogiem, przysposabiając je niejako do chwastu, który głęboko w nich korzenie zapuszcza. Otóż *Złota książeczka* ma być niejako hamulcem przeciwko złemu, ma wzkazywać młodzieży piękne przykłady w niej zawarte do naśladowania. Cena z oprawą 1,25 m. Nabyć można od K. Kozłowskiego w Poznaniu lub też z Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu.

* ROZMAITOŚCI. *

* **Kopa,** po łac. *sexagena,* w rachowaniu oznacza liczbę 60. Gdy król Wacław z grzywny srebra kazał bić groszy 60, zaczęto zamiast na grzywny rachować na kopy, a sposób ten liczenia przetrwał na długo. Sto kop groszy znaczyło sto grzywien, choć liczba sztuk monety mogła być wcale inna. Kopa odpowiada wadze grzywny, czyli pół funtowi, ale z uwzględnieniem tej próby srebra, jaka była w szerokich groszach Wacława. Podług statutu Herburta w kancelaryach od zapisów pospolitych brane być mają dwie kopy, od listów wiecznych na pergaminie pięć kóp. Wyrazu tego używano w ogólnem znaczeniu pieniędzy, kapitału, tak jak dziś używa się wyrazu »grosz«. Np. były przysłowia: Kopa kopę rodzi. U kogo kopa leży, druga do niego bieży. Lepsza cnota, niż kopa. Dotąd liczą się na kopy: jaja, snopy, lata, żerdzie, siano, klepki, raki. W Litwie i na Rusi nazywano kopą zgromadzenie gminne, gromadzkie. Statut litewski przepisuje, w jakich razach kopa ma być uczyniona wokoło po dwie mile, czyli zwołana w promieniu dwumilowym, a kiedy na milę ze wszystkich czterech stron, gdzie kopowisko czyli miejsce zebrania podkomorzy naznaczy, jak kopa zbierane i odprawowane być mają. Po popełnionych tajemnie zbrodniach, kradzieżach, wydarciu pszczół z ula zwoływano dla wykrycia kopę gromadzką przysiężną, na których kopnicy pod przysięgą zeznawali, czy co nie wiedzą w tej sprawie.

* **Sołtys, sołtystwo** czyli sołectwo. W czasach, gdy ziemi pustej było dużo a osadników mało, książęta, królowie, panowie i duchowni, zakładając nowe wioski, stanowili w nich sołtysów, czyli zwierzchników, którzy mieli obowiązek starać się o nowych osadników, zarządzać gromadą, naznaczać podwody, poprawiać drogi i mosty, strzedz całości granic, wybierać daniny, dziesięcinę i czynsze, donosić o zbrodniach i sądzić sprawy pomniejsze. Ta właśnie władza sądowa stanowiła w Niemczech główny obowiązek wiejskiego sołtysa, który nazywał się tam *Schuldheiss* (od *Schuld* w starej niemczyznie: występek, kara), zatem *schuldheiss* był to w Niemczech sędzia wiejski. W Polsce gdy zaczęto nad nowemi osadami stanowić podobnych zwierzchników, przerobiono ich niemiecką nazwę na zgodniejszą z polskim językiem sołtys, szołtys, a *Schuldheissamt* na sołtystwo, sołectwo. Polacy sołtysa po łacinie zwali *scultetus,* a sołectwa, *scultetiae.* Sołtysowi na uposażenie dawano kilka włók ziemi i pewne korzyści, jak np. młyn, karczmę, rybołóstwo, z uwolnieniem od wszelkich powinności. Z czasem włożono na sołtysów obowiązek służby wojskowej w razie wojny. Wójci i sołtys tem się między sobą głównie różnili, że gdy wójt był zwierzchnikiem miasteczka osiadłego na prawie niemieckiem, to sołtys był zwierzchnikiem wioski lub kilku wiosek osiadłych na prawie polskiem. Za Piastów sołtysami zostawali kmiecie, którzy potem wskutek służby rycerskiej przechodzili na szlachtę. Później sejmy zalecały wojtcwstwa i sołtystwa oddawać zasłużonym krajowi żołnierzom. Ponieważ każda okolica miała swój gród warowny czyli zamek, służba zatem wojskowa sołtysa polegała głównie na obronie grodu najbliższego, gdzie na czele gromady swoich kmieci stawał, zwoził żywność, daniny, drzewo, naprawiał wały i palisady, utrzymywał porządek i rozkazywał gromadzie, która przybyła schronić się do zamku w razie niebezpieczeństwa. Pewne różnice w obowiązkach zależały od tego, czy sołtys był z dóbr królewskich, szlacheckich lub duchownych. Sołtysi z dóbr królewskich odbywali częściej służbę wojskową w polu. Jeżeli sołtys był szlachcicem, osoba jego nie traciła szlachectwa, jeżeli był kmieciem, sołtystwo ułatwiało mu zasłużenie na szlachectwo. W większych sołtystwach sołtysi miewali swoich kmieci i czynszowników.

✧ FRASZKI. ✧

* **Jakże** się zowiesz mały?
— Franio!
— A twój ojciec?
— Umarł.
— A czem był, nim umarł?
— Żywym.

* **Kucharz** jeden piekąc dla pana gęś, zjadł od niej nogę. Pan spostrzegł na półmisku gęś bez nogi i kazał pytać kucharza, ale ten odpowiedział, że ta gęś miała tylko jedną nogę. Pan mówiąc, że to być nie mogło, surowo go złajał. Gdy potem byli raz w drodze, ujrzeli wiele gęsi na łodzie, a każda stała na jednej nodze, (bo gęś podnosi jedną nogę, dla zagrzania).

— A co, — rzeknie kucharz, — a widzi pan, że te gęsi mają tylko po jednej nodze.

Pan wówczas gwizdnął a przelęknione gęsi spuściły nagle nogi.

— A co, widzisz cymbale, czy im brakuje drugiej nogi?

— To też, — odrzecze spokojnie kucharz, — gdyby pan i wtenczas był gwizdnął, gdy gęś podawano, to niezawodnie znalazłaby się i druga noga.

* **A nie możecie** to pędzić świni którędy indziej, to droga dla pieszych!

— A dyć moja świnia tys piechotą.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

Praktyczne rady.

— **Klajster do tapet.** 1). Przedewszystkiem należy dwukrotnie pociągnąć olejem lnianym; gdy ten wyschnie dobrze, tapety przyklejają sią za pomocą klajstru z krochmalu, do którego dodaje się, gdy jeszcze jest gorącym, na każde 10 kwart 4 łuty terpentyny weneckiej. 2). 20 łutów zwyczajnego kleju stolarskiego zalewa się na noc jedną kwartą octu 6%-wego, ażeby zmiękł; następnie tę mieszaninę ogrzewa się, aby klej zupełnie się rozpuścił. Oddzielnie równe części mąki pszennej i żytniej w ilości potrzebnej na wiadro kleju, gotuje się z wodą; gdy ten klajster ustoi się, dodaje się doń poprzednio przyrządzony rostwór kleju.

— **Pasta do czyszczenia szyb.** 90 cz. kredy szlamowanej, 5 cz. bolusa białego, 5 cz. bolusa czerwonego, 50 cz. wody i 21 cz. spirytusu miesza się razem i dobrze przerabia, aby otrzymać jednolitą pastę. Pastą tą naciera się szybę dopóty, aż wyschnie; poczem pozostały proszek ściera się za pomocą szmatki płóciennej.

Rozmaitości.

* **Zwyczaj** posługiwania się łyżkami i widelcami, zamiast palców, nie tak dawno istnieje w Europie. Św. Piotr z Amiens opowiada ze zgrozą, że siostra cesarza bizantyńskiego Argyryusza, zaślubiona w roku 1028 jednemu z synów doży weneckiego, Piotra Orseolo, zamiast jeść palcami, używała do tego złoconych łyżeczek i widelców, któremi niosła do ust pokarmy. W Anglii, jeszcze w r. 1610 wyśmiewano się z podróżnika Tomasza Coryote, że przy jedzeniu posługiwał się widelcami i łyżkami, przywiezionemi z Włoch. We Francyi zostały wprowadzone dopiero za Franciszka I-go.

* **Niebywały pośpiech.** Francuski tygodnik naukowy »La Nature« donosi, że w Stradfort, w warsztatach towarzystwa »Great Eastern Railway« zbudowano lokomotywę wraz z tendrem w przeciągu dziesięciu godzin. W pracy tej brało udział 137-miu mechaników; 84-rech robotników zajętych było budową lokomotywy, a 52-ch pracowało nad tendrem. Rozpoczęto robotę o godz. 9-ej m. 8 rano, a o godz. 11-tej m. 47 wszystkie składowe części były już gotowe i natychmiast przystąpiono do składania maszyny. Robota ta trwała 4 godz. 38 m. O godz. 6-tej m. 55 lokomotywa dała pierwszy sygnał i w parę chwil na czele pociągu towarowego wyruszyła wprost do Peterborough. Suszenie farby i lakieru odbyło się w drodze.

ZAGADKI.

I.

A	1					
B		2				
C			3			
D				4		
E					5	
F						6

W sześciu rzędach oznaczonych literami A, B, C, D, E, F, ułożyć w każdym po wyrazie sześciozgłoskowym, w którychby litery wskazane przez cyfry od 1 do 6 włącznie składały nazwę miasta stołecznego. Sylaby: kwa, Hen, lin, sol, Jor, dur, Lub, ryk, Mon, Mo, dan.

Znaczenie wyrazów: A. Miasto gubernialne w Królestwie Polskiem. B. Dawniejsza stolica Rosyi. C. Rzeka w niższej Gwinei. D. Inaczej uniform. E. Imię męzkie. F. Rzeka w Palestynie.

II.

Z następujących zgłosek:

a, bis, cław, chal, de, deks, e, dasz, gle, i, i, ju, kar, ko, ki, ma, nak, rek, wo, wro, zwło, czer,

ułożyć dziesięć wyrazów: Znaczenie wyrazów. 1. Jeden z ewangelistów. 2. Człowiek latający. 3. Prowincya w Azyi. 4. Zbiór praw. 5. Jeden z apostołów. 6. Imię żeńskie. 7. Miasto na Ślązku. 8. Ptak żyjący w gorących krajach. 9. Ptak z czerwonem upierzeniem. 10. Ciało człowieka po śmierci.

Pierwsze i końcowe litery od góry do dołu, utworzą nazwisko znakomitego poety i nazwisko słynnego powieściopisarza.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 3:

1) Bez nawrotu, bo gdyby nie nawrócił, z powrotem by nie przyjechał. — 2) Pająk. 3) Deszcz.

Rozwiązanie rebusu z Nr. 3:

Daj kurze grzędę, a ona mówi jeszcze wyżej siędę.

Dobre rozwiązanie zagadek i rebusu nadesłali pp.: A. Jamrożyk z Lidzbarku i Antoni Rygułła z Szopienic.

Dobre rozwiązanie zagadek z Nr. **2-go** nadesłali pp.: Jan Badura z Rozdzienia; Józef Knopp z Zabrza; A. Jamrożyk z Lidzbarku i Stanisław Pietrzak z Strzyżewa Kościel.



Widzę ryby, raki i różne narzędzia rybackie, lecz gdzie jest rybak?

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.